

Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca“.

Z tegorocznego rykowiska jeleni w Matkowie.

Jakkolwiek taki napis położyłem nad niniejszą korespondencyą — najmniej potrafię o właściwem rykowisku napisać, gdyż trudno opisywać coś, czego się nie widziało i nie słyszało. Byłem tego roku w górach 2 tygodnie: 29. września z gór powracałem, ale z czystem sumieniem powiedzieć mogę, że właściwej pieśni naszego jelenia nie słyszałem. Na 2 dni przed moim wyjazdem, usłyszałem wprawdzie pierwsze poryki jelenia w mojem sąsiedztwie, ale robiło to na mnie wrażenie jakiejś budzącej się w nim tęsknicy lub żalu za utraconym rajem.

Rozpatrzywszy się dobrze w kniei po kilkodniowym w niej pobycie, przyszedłem do przekonania, że straszna zima i u nas ogromne zrobiła spustoszenia, a gdy w dodatku na każdej drodze i ścieżce rano znajdywałem świeże tropy wilcze i codziennie albo sam znajdowałem resztki z niedojedzonej sztuki jelenia, albo też mi ktoś o świeżej ofierze żarłoczności wilczej donosił, załamywałem ręce, przeczuwając, że w bardzo szybkiem tempie dążymy tam, gdzieśmy byli przed laty 12-tu, z tą tylko różnicą, że wtenczas z zacnym naszym Towarzyszem, S. Piegłowskim mawialiśmy: będą u nas ryczeć jelenie w przyszłości, a teraz możemy sobie powiedzieć: jeszcze jedna taka zima i te wilki do spółki, a jelenie nasze przepadną z kretesem.

I były rzeczywiście takie czasy, kiedy jednego ranka pokazywałem Towarzyszom na jednej zboczy 60—70 sztuk szlachetnego tego zwierza; w tym roku jeśli zobaczyłem jedną łanię, albo jelenia smarkacza, czułem się szczęśliwym, bo przecież coś żywego widziałem. Słyszeliśmy tu zawsze na rykowisku po kilkanaście jeleni, w tym roku

padły 3 byki i to 2 nieme (nie ryczące), a jeden tylko, który trochę porykiwał i miał kilka łań w haremie.

Przekonawszy się w pierwszej chwili, że tu wilki gospodarują jak w domu, widząc z drugiej strony, że niema jelenia godnego kuli, bo wszystko wilki porozpędzały, co po strasznej zimie uratować się jeszcze zdołało, postanowiłem wilkom w drogę włazić, a jakby się dało jakiego uszczknąć, tem lepiej, bo wilka w mojej kronice myśliwskiej nie miałem dotąd zapisanego.

Geneza naszych wilków w Matkowie jest następująca: Podczas rykowiska w r. 1905 pląsały się jakieś 2 wilki — zdaje się para — i z tych sukę zabił na rannym podchodzie Al. Weissmann, dnia 25. września. Niepocieszony wdowiec pocieszył się wkrótce świeżą towarzyszką, importowaną bez pośredników, z sąsiednich rewirów górskich, a szczęśliwe to stadło obdarzyło nasze knieje czworgiem dorodnych wilcząt, które wraz z rodzicami podczas rykowiska w r. 1906 srodze nam dokuczały. Cała banda wpadła dnia 25. września 1906 pod lufę naszego Carvera, Henryka Preka, który też nie omieszkał, jednego wilczka zabić na miejscu, drugiemu wybił zęby kulą Schönauerowską (tego chłopi później kijami dobili), a trzeciego zastrzelił dozorca hr. Schönborna.

Zostały nam zatem w remanencie na rok 1907 trzy wilki i te przez cały rok okropne robiły spustoszenia w zwierzynie, owcach i bydle. Z wiosną przybyły znów 4 wilczęta, tak, że mieliśmy 7 tych wiecznie głodnych zbrodniarzy stałych, prócz tego zdaje się przychodził czasami w odwiedziny do całej familii wilk „łabacz“, tak nazwany po olbrzymim tropie, jakim się w kniei podpisywał.

Korzystając z księżycowych nocy, chodziłem ciągle za zacną familią, myśląc, że mi przecież gdzieś pod lufę wlecą, a śledząc i wysłuchując je codziennie, wiedziałem zawsze, w której stronie zacna familia się znajduje. Przez 4 dni z rzędu, rozdarły mi wilki po jednej łani. We wtorek 24. września o brzasku rannym, wlazłem na ucztującą familię i odebrałem jeden badyl i resztki skóry z łańki, którą wilki z kopyta wzięły; bo nie zdołała ani 300 kroków ucicc. Wszystko na szronie dokładnie odczytałem.

Po kucharsku licząc, zjadł każdy wilk w przecięciu po 20 kg. ciepłego mięsa, a w tym stanie przeładowania żołądka, żadne stworzenie nie lubi spaceru, to też i moje poczciwe wilki tylko o kilkaset kroków od miejsca uczty, pokładły się na dzienny odpoczynek.

Z powodu okropnej posuchy na wypalonych zrębach, nie mogłem potropić i obciąć wilków dokładnie gdzie leżą, a gonić z jednym pobereżnikiem na oślep, mogło sprawę tylko popsuć. Wieczorem zasiadłem tylko na drodze pod gąszczem świerkowym, gdzie się domyślałem obecności wilków w tej nadziei, że wychodzące na polowanie, na tej drodze gdzieś spotkam. Siedziałem tak do godziny $7^1/_2$ — księżyca jeszcze nie było, wilki się nigdzie nie odezwały, zamknąłem karabin i ruszyłem do domu z myślą, że to jutro dopiero 25. września, a więc krytyczny u nas dzień dla wilków.

Nie uszedłem ani 100 kroków, gdy wtem słyszę koncert całej bandy wilczej w gąszczyku, pod którym dopiero siedziałem. Za chwilę słyszę je na drodze; wyją i idą do mnie. Przylepiłem się do jakiegoś świerka i czekam co z tego będzie. Przyszły do mnie na kroków 15—20, szczekały na mnie jak psy, gryzły się ze sobą, słyszałem jak chodzą niezdecydowane na prawo i lewo, a kuli posłać nie mogę, bo nic nie widzę. Była chwila, że chciałem już strzelić na oślep w kierunku całej bandy, ale rozwaga zwyciężyła, chociaż na wąskiej górskiej drożynie i na tę odległość możeby kula przecież coś z wilczej skóry namacała. Wilki ustąpiły i poszły polować na moich zrębach, a ja pociągnąłem do domu z długim nosem.

Nadszedł nareszcie dzień krytyczny I. rzędu, t. j. 25. września. O brzasku dnia, byłem na szczycie „Sinego kamienia“ — skonstatowałem zaraz, że wilki z tego szczytu spędziły stado jeleni z 5 sztuk złożone, a gdy zeszedłem koło 7-mej rano w połowę tej góry, usłyszałem żarcie się wilków na przeciwnej zboczy. Wiedziałem zaraz, że to świeża uczta tych „szelmów“ (w narzeczu naszych gajowych) — pospieszyłem też tam, co mi nóg i tchu starczyło. Gdy zeszedłem do potoka, wszystko ucichło i straciłem oryentacyę mimo dokładnej znajomości terenu, na którym wilki ostatni raz słyszałem.

Wiedząc, że w gąszczu nic wilkom nie zrobię, siadłem w potoku na przesmyku, myśląc, że po uczcie albo do wody przyjdą, albo przez potok przechodzić będą na dzienny i dobrze zasłużony spoczynek. Siedziałem tak do 9-tej rano, myśląc jednak, że wilki już się ruszać nie będą o tak późnej godzinie, zebrałem manatki i zacząłem drogą schodzić w dół potoka ku domowi.

Gdy tak zdegustowany i poirytowany własną niemocą wobec tych „szelmów“, kroczę po opuszczonej drożynie leśnej, spostrzegam przed sobą wilka, który chce mi przed nosem przejść przez drogę; wilk mię równocześnie także zobaczył i zaczął odważnie drogą na dół uciekać. Zerwałem Schönauera i przez lunetę puściłem za nim kulę, a po strzale miałem to wrażenie, jakby wilk gwałtownie przed czemś zawarował. Zrepetowałem i szukam wszędzie więcej wilków, ale, że „szelmów“ więcej nie legło, więc przypatruję się przez Zeissa (126 kroków), co się z moim strzelanym wilkiem dzieje i przyszedłszy do przekonania, że nieboszczyki nie wstają, nie chodzą i nie kąsają, poszedłem się popatrzeć, co właściwie zabiłem. Przekonywam się zatem, że zgładziłem młodą wilczycę, a kulę niedyskretnie umieściłem w tym punkcie, który dobrze wychowane psy ogonem dokładnie zakrywać się starają; w dalszym ciągu kula przez całą długość korpusu pod krzyżem przejechała, a utkwiła w gardle. Nic też dziwnego, że po takiem nadzianiu, wilczyca odrazu „zawarowała“. Wiedziałem, że reszta wilków gdzieś w pobliżu odpoczywa, przetropiłem potok i znalazłem tropy prowadzące w tym kierunku, gdzie wczoraj rozdarły łanię i przez dzień leżały. Sprosiłem na prędce dwóch towarzyszów i kazałem przegonić gąszczyki, w których się wilków spodziewałem, niestety bez rezultatu.

Wieczorem poszedłem znów nad ten potok, gdzie rano wilki słyszałem, w nadziei, że je obsłucham i nie zgubię śladu, dokąd na łowy się wybiorą. Parę minut przed siódmą, zaczęły wilki swój koncert wieczorny, ale wyły w dwóch grupach po obu stronach „żółtego potoka“: na prawo 1 stary i 2 młode, na lewo stary i młody. Nie tracąc czasu, wleciałem pomiędzy obie grupy, przewróciwszy się po ciemku kilka razy na głazach i złomach, ale przyszedłem, a tempo. Stanąłem na maleńkiej halawce nad samym potokiem, mając na prawo usypiska kamieni i ścieżki między młodnikami świerkowymi, na lewo drogę, po której dawniej drzewo ściągano, a po której my podczas polowań codziennie chodzić musimy.

Ledwie pod małym świerkiem przystanąć zdołałem, słyszę na prawo sypiące się czasem kamyki, domyślam się zatem wilków, kieruję tam karabin i czekam; za chwileczkę słyszę na lewo na drodze załamanie grubego pa-

tyka, ale w najbliższem mojem sąsiedztwie. Obracam się w tę stronę i nie czekam długo, bo w tej samej chwili zobaczyłem jakąś jaśniejszą plamę na tle małych świerków i równocześnie, to „coś“ jak żółta szmata wskoczyło w gąszcze. Strzeliłem w tym kierunku, a po strzale zrobił się koło mnie ruch: na wszystkie strony wilki uciekały, a to „coś“, do czego strzeliłem, także w kilku susach uciekło w dół potoka. Po chwili kazałem pobereżnikowi zaświecić latarkę, ale przy jej świetle nic odnaleźć nie zdołałem; nie miałem uczucia, bym w tych warunkach mógł trafić, przecież to już ciemna noc ($7^1/_4$ godz. wieczór 25. września), a strzeliłem wprawdzie blisko, ale tak się najłatwiej chybia. Odłożyłem szukanie do rana i zabrałem się do domu, wiedząc, że wilki tak gruntownie wystraszone, wyć w pobliżu nie będą. Rano około 8 po beskutecznym podchodzie, byłem na miejscu, gdzie wieczór strzeliłem. Na miejscu strzału znalazłem zaraz 2 kropelki farby na pniaczku po stronie wychodniej, kilka kroków dalej na trawie i ożynach, dwa chlapnięcia krwi skrzepłej jak z konewki a 50 kroków dalej rozciągniętą i sztywną już wilczycę, matkę całej familii, tak olbrzymią, że nie przypuszczałem nigdy, by wilk do takich mógł dojść rozmiarów. Kulę dostała w środek komory wylot za lewej łopatce, ale że trafiłem, sam uważam na czysty przypadek, gdyż w tych egipskich ciemnościach nie było mowy o celowaniu lub zobaczeniu muszki.

Radość moja naturalnie była wielka, gdyż w jednym dniu i w takich warunkach zrobić tak ogromny wyłom w rodzinie wilczej i obecnie, a jeszcze więcej na przyszłość, musi cieszyć myśliwego, który nietylko lubi strzelać, ale i podziwiać i cieszyć się zwierzyną. Była to zasłużona nagroda za tyle trudów, tyle niedospanych nocy, w których przy księżycu, na mrozie przesiadywałem na pniaczkach w nadziei spotkania tych „szelmów“, a zawsze bezskutecznie. Kiedy 28. września w nocy opuszczałem Matków, oddając rewir drugiemu Towarzyszowi, wyły mi na pożegnanie jeszcze tylko 3 wilki: 1 stary i 2 młode; pomyślałem sobie w duchu: „Ej szelmy — pilnujcie się dobrze, bo ten, co po mnie przyjdzie, jeszcze lepiej was zreferować potrafi“. Nie sprawdziła się moja przepowiednia: z 4 Towarzyszów, którzy po nas polowali, żaden do wilczej skóry niestety się nie dobrał, a wilki zapewne dalej grasują i z wiosną postarają się o zwiększenie rozbójniczej bandy.

Ze wszystkich rewirów górskich dochodzą niestety w tym roku hiobowe wieści o szalonym przyroście tych drapieżców. Na Bukowinie — jak czytałem — wilki są w takiej liczbie, że już wprost i ludzi atakują. Skąd się ich tyle nabrało?

Na to pytanie mam — zdaje mi się — trafną odpowiedź: Ostra i długotrwała, a bardzo śnieżna zima, sprowadziła nam tych groźnych gości z północy i wschodu, a wnioskuję to stąd, że w lutym, marcu i w kwietniu, spotykano wilki nawet tu w Rzeszowskiem i Jarosławskiem, przechodziły zatem zapewne z lasów w Królestwie położonych, analogicznie działo się we wschodnim Beskidzie i na Bukowinie, dokąd przybyły ze stałej swej siedziby: ze stepów Ukrainy i Wołynia. Nie ulega wątpliwości, że było ich po trochę wszędzie w naszych Karpatach, a w 3 metrowych śniegach, nie było sposobu dać im rady. Obfitość jeleni i łatwość w zdobywaniu żeru w takich śniegach, zatrzymała te szkodniki w naszych rewirach górskich, a jeśli im pozwolimy grasować dalej bezkarnie, krzyżyk położyć możemy na rykowisko jelenia i zrezygnować z rozkoszy, na którą dziesiątki lat się czekało i pracowało i dużo kosztów poniosło.

W Rzeszowie, 31. października 1907.

Edmund Rylski.



Z rykowiska.

Odkąd minęło, jak sen jaki złoty,
Umieram z żalu, usycham z tęsknoty...

Nie powiem, o rykowisku: jak Neapolitańczyk o swojej ojczyźnie mówi, „być na rykowisku a potem umrzeć“, boby to znaczyło wyrzec się następnego, ale powiem: być na rykowisku a potem zasnąć na cały rok aż do następnego. Nie będzie w tem chyba przesady, bo od czasu, gdy na jelenie poluję, ledwo się jedno rykowisko skończy, już człowiek o następnem myśli i chciałby, aby ten rok oczekiwania, jak jedna noc, upłynął — ale co mówię? gdyby tak było, nie byłoby żadnych innych łowów a i tych szkoda, tembardziej, że gdy wyobrażam sobie niebo, mogę je sobie bez wszystkich innych wystawić, ale bez ryku jeleni, nie! Czekajmy więc, polujmy, a nadewszystko wspominajmy.

Szesnastego więc września stanąłem popołudniu w kolebie swojej, w Woli michowej a w godzinę później siedziałem już na zrębie, bacznie nadsłuchując. Przez kilka dni tropiłem, biegałem, słuchałem bez wyraźnego rezultatu. Porykiwania, raczej mruczenia słyszałem już od następnego dnia, ale tak bałamutne, że nie było można oznaczyć nawet w przybliżeniu, co się w rewirze znajduje. Jeden tylko byk zainteresował mnie trochę, wielkością swoich tropów i basem swego głosu, który słychać było regularnie o czwartej rano na zrębie, jako jedno, najwyżej dwa mruknięcia i zaraz po ciemku wynosił się przez wysoki, podszyty las; tam mruczał parę razy, kąpał się a koło piątej leżał w gąszczu o jakie 3 km. odległym. Wieczór ta sama wycieczka z powrotem na zrąb. Miałem nadzieję zachwycić go rano, gdyby się spóźnił, na zrębie lub wieczór, gdyby się zdecydował wcześniej wyjść a w każdym razie za parę dni, gdy zacznie lepiej ryczeć. Pogoda nam dopisywała, rano przymrozki, w nocy tak zimno w kolebie, że wymyśliłem nowy sposób spania: pakowałem poduszkę do kapuzy od bundy i głowę na nią a dopiero tak uchroniłem się od wiania przez szpary koleby. Brat mój spotykał ciągle jelenie w swoim rewirze, ale mając kolosalny, spalony zrąb zawsze na niemożliwe odległości; w lesie zaś tak milczały, że o podchodzeniu mowy nie było. Wszędzie w okolicznych rewirach również cisza. Ja tymczasem chodziłem cierpliwie koło mego jelenia, nie mogąc go na niepunktualności złapać. 23/9 odezwał mi się o piątej rano koło swej kąpieli. 23/9 mruczał tamże do pół do siódmej a pięć łań widziałem do poźna na zrębie; to już postęp, ale jeszcze nie dosyć. Tegoż dnia wieczór widzia-

łem siedm łań na zrębie (cały harem!). 24/9 rano ryczał lepiej, ale tylko do pół do piątej w wysokim lesie. Wieczór usiadłem jak zwykle między lasem a zrębem. O trzy na szóstą zaczął mój przyjaciel dobrze ryczeć koło swej łazienki i szedł ciągle rycząc ku zrębowi; w pół godziny później odezwał mi się już pod nogami i zaraz widzę łanię, za nią byka, wychodzące na zrąb. Byk w ciele ogromny a rogi wydały mi się jakieś małe, nadto widzę tylko widełki; nie było jednak czasu do stracenia, jelenie chowały mi się już za złomy, dosyć się już za nim namęczyłem a kto wie, czy drugiego spotkam, mając za dwa dni wyjeżdżać. Złożyłem się,... padł strzał... byk zaczął się zataczać, dostał jeszcze cztery kule (dwie w łopatkę, dwie w talerz) i padł z łoskotem wśród złomów... W tej chwili... donośny ryk odezwał mi się pod nogami i znany mi dobrze głos zaczął opłakiwać... a może tryumfować nad śmiercią... towarzysza. Nie udało się! byk wprawdzie duży i stary, ale nogi dwunastaka o wysokości 64 cm., rozpiętości 62 cm., tyle co nic, ale zato dobrodziejstwo dla rewiru, bo „Morschhirsch“ o jedynie ocznych odnogach całych, inne połamane i wygniłe. — Trzy dni jeszcze siedziałem w kolebie, jelenie zaczynały coraz lepiej porykiwać, mój przyjaciel nie zmienił w niczem swoich obyczajów, ja jednak sprzeniewierzyłem mu się i wyjechałem do Lisowic, gdzie 29/9 miałem pierwszy podchód. Brat mój z gośćmi pozostał jeszcze parę dni w górach, ale nic nie udziałali.

Dwudziestego dziewiątego dotknąłem po raz pierwszy lisowickiej ziemi rano, wyszedłszy z leśniczówki, gdzie swą kwaterę miałem. Jeszcze na gościńcu pod lasem słyszę poważne głosy jelenie na wszystkie strony; po krótkiej naradzie z przewodnikiem, zbadaniu wiatru, wypytaniu się o teren, udaję się do najbliższego byka na Pasieczną. Najpierw długa, mchem wysłana linia wiedzie moje kroki, aż pod tablicę stojącą na cześć pamiętnego ubicia rysia na tem miejscu; mimo mroku odczytuję napis i dziwne uczucie zaczyna przepełniać moje serce... uczucie niezwyczajnej powagi tego miejsca, tej linii... tej kniei,... uczucie, które zawsze na poważniejszych łowach gra we mnie a teraz tysiąckrotnie wzmożone, że jestem w jakowemś sanctuarium, że ołtarz pogański przedemną się wznosi, że przystąpić mam do świętej, jakiejś świętej... bardzo świętej ofiary, której stosem, dymkadzidła wznoszący się ku niebu: knieja i to co mą duszę przepełnia, rozpiera a w dziękczynieniu jakiemś... zachwycie wznosi, uszlachetnia,... której treścią zwierz dziki, tak cudny, wspaniały w poczuciu swej siły, wolności a paść mający przezemnie,... której celem...? — Zostawiwszy przewodnika swego na tej linii, schodzę na wązką drożynę, która wśród dębowej drągowiny prowadzi w dół parowu. Byk tymczasem ryczy coraz potężniej, zda się sam lubować w swych krótkich a groźnych, do grzmotu podobnych, wyzwaniach. Zbliżam się ciągle a coraz wolniej — i już tak blizko jestem jelenia, że tylko ciemność chroni jego życie — już słyszę oddech i wszystkie westchnienia, i głośne, głośne słyszę serca bicie. A niewiem tylko, czy to bije moje, czy jego serce...? W parowie kończy mi się drożyna; czekam aż się zupełnie rozjaśni i po kwadransie nerwowego stania, gdzie każda chwila zdaje się być utratą pewnego już strzału, biorę suchą gałąź do rąk i łamię na kolanie. — Ryk w jednej chwili ustał i głośno łamiąc schodzi jeleń do mnie, ukazując mi się i znikając wśród dębów; głowę podniósł wysoko, kołysze wieńcami, wietrzy, rozgląda się i powoli w dół stąpa... biada rywalowi! To jest widok, jakiego się nie zapomina. — Zbliżywszy się na 50 kroków, dostał kulę w pierś i padł w miejscu. Dwunastak, nieszczególny, bo 88 cm. wysokie, a 64 cm. rozpięte rogi, ładne zato w koronie; lepszych tego roku niema. Porzucam zaraz pierwszego jelenia, bo o kilometr dalej na zrębie Dubowe słyszę donośny głos drugiego. Podchodzę wysoką świerczyną aż na kraj gołego całkiem zrębu i widzę na 350 kroków dwa byki: jeden dobry dziesiątak patrzy się w moją stronę, drugi bardzo gruby, przynajmniej czternastak, z wielką czarną grzywą i wybitnemi odnogami, białemi oczami, stoi na połeć i ryczy bez przerwy. Po krótkim namyśle, nie widząc możności podejścia, strzeliłem oparłszy schönauera; jelenie rozskoczyły się, dziesiątak przedefilował stępo o parę kroków odemnie a tamten skoczył ze sto kroków i stanął skurczony z grzbietem w kabłąk, z głową przy ziemi. Po kwadransie strzeliłem raz drugi i jeleń znikł w gąszczu przyległym, zostawiając kroplę farby; wszelkie poszukiwania na nic. — Nastąpiły dwa dni pauzy, podczas których las milczał a powietrze było ciepłe. Drugiego października przymrozek znowu i koncert jeleni. O czwartej rano zbliżyłem się już do jednego, który ze zrębu Dubowe szedł rycząc, w wyższe rewiry; ja za nim puszczam się i tak trwa mój spacer, czasem wolno, czasem kłusem, czasem drogą, czasem na przełaj przez krzaki, do szóstej. W końcu zniecierpliwiony zacząłem go wabić, zbliżył się na 130 kroków i padł z kulą w łopatce. Pseudoczternastak, bo dwa guzy w koronie nie wyrobiły się jeszcze dostatecznie. — Dużo jeszcze epizodów tego rykowiska mógłbym opisać, ale choć jako wspomnienia wszystko ładne, jako opowiadanie może znużyć. Cztery jeszcze dobre byki miałem na strzał, prócz mnóstwa ósmaków i szóstaków, alem szukał już bardzo grubego: uwijałem się za takim bardzo grubym bykiem po całych Lisowicach, bo nikogo prócz mnie nie było tam na rykowisku. Ryczały dobrze, nawet kapitalnie czasem. Raz wlazłem w gąszczu między trzy bijące się byki i siedziałem wśród szalonego łoskotu i piekielnych wprost ryków do dwunastej w południe, o parę zalewie kroków od tej walki. Tomy mógłbym spotkaniami i podchodzeniami przez tych parę dni zapisać, ale grubego jelenia nie spotkałem i dziewiątego opuściłem Lisowice, żegnając tę knieję na tydzień, tj. do jesiennych łowów a najcudniejszy sen życia... do przyszłego roku, jeżeli Bóg da doczekać!

C. C. G.

Wspomnienie z rykowiska.

Jedna z najpiękniejszych jesieni, jaką pamiętam, to jesień tegoroczna. Nietylko ciepła i trwała pogoda, ale obfitość liścia tak wielka, że niema pędzla nawet arcymistrza, któryby potrafił przenieść na płótno tę grę kolorów, tę siłę barwy, która we wszystkich odcieniach różowych, czerwonych, ba purpurowych, żółtych i złotych maluje odwieczne bory naszych gór kochanych. Była to nietylko biesiada dla serca myśliwskiego, ale i dla oka, bo takiej krasy niema nigdzie, tylko tam, a podczas najmilszej muzyki „ryku króla Karpat“ myśliwy czuje się podniecony, inny, szczęśliwy! Nie będę powtarzał, dołączając moją skargę do ogólnych jeremiad kolegów myśliwych, całkiem zresztą słusznych, wszyscy już wiemy, że zima przeszłoroczna była

srogą i bardzo dokuczyła zwierzynie, miejscami będąc klęską na kilka lat, na wieńcach jelenich zaś zapisała się specyalnie. Opowiem li tylko jak najkrócej o doli i niedoli tych chwil tegorocznych uroczych z Karpat, które już dziś są tylko wspomnieniem.

Pierwszego ranka dochodziłem do zrębu, który w kilka dni potem miał mieć dla mnie wspomnienia najrozkoszniejsze. Ciemno jeszcze było, więc siadłem na kłodzie i marzyłem pełen nadziei, przysłuchując się rykowi jeleni, które w dali dawały koncert wspaniały, wyrywając się na udeptaną ziemię w imię miłości.

W moim rewirze cisza. Puszczyk tylko krążąc zawodził, że już noc pierzchła, a tajemnicze szmery cichły z brzaskiem dnia. Zresztą cisza. — Posuwałem się powoli nad zrębem przystawając, nadsłuchując i wypatrując sobie oczy. Tam ruszyło się coś i ujrzałem powoli posuwającą się łanię, niestety samą, która pasąc się oddalała się, aż znikła za garbem góry.

Na wschodzie już świta i robi się powoli dzień. Piękny wschód słońca w górach, to jedna z ładniejszych tam chwil. Skale barw niedopowtórzenia, ze szkiców zamajaczonych wychodzą powoli arcydzieła krajobrazów, cuda natury. Co za kraj, jaki dziki, imponujący, a jaki uroczy! Zbocz, po której idę, składa się z łańcucha pagórków i pagóreczków, przeciętych jarami, które miejscami głębokie, jak przepaść, a dno ich wysłane kamieniami, między którymi woda się sączy, tworząca tu i ówdzie błotka, w których jelenie kąpiąc się, hartują członki znużone w tych teraz tak ruchliwych dniach. Wtem gdzieś przedemną ryknął raz i drugi, a basem tak głębokim, aż powietrze drgało. Wyzwanie w szranki nie zostało bez odpowiedzi, bo oto drugi już mu odpowiada, krótko, jędrnie i nieustraszenie. Ryczą bez przerwy i na jednem miejscu. Zostawiwszy Fedora, pędzę ku pierwszemu, coraz bliżej, i coraz bliżej i coraz ostrożniej. Tak zbliżyłem się nie dalej, jak 30 kroków do jelenia, który w kłąbiku gąszczów waląc rogami o gałęzie, kopiąc i kręcąc się w miejscu, ryczy cudownie.

Daremnie oczy wytężam, posuwając się raz w lewo, raz w prawo, wyłażę wyżej, absolutnie nic zobaczyć nie mogę, ani końca wieńców, nic. — Tak siedziałem pod tym jeleniem z $^1/_2$ godziny, może godzinę, nie wiem, upajając się muzyką nad muzykami i nic zobaczyć nie mogłem. Jeleń prócz tego, że był w zwartym gąszczu, znajdował się w dołku i stąd trudność zobaczenia. Wszystkie moje wysiłki ku osiągnięciu tego celu, były daremne. Nareszcie jeleń rycząc ciągle powoli, odszedł z kapitalnej kryjówki i szedł po zboczy, która prócz ciągłej nierówności terenu, jarów i przepaści, zawalona była kłodami. Ja prawie biegłem ścieżką, równolegle do niego, a on szedł, jak po równym gościńcu. Zaprawdę zagadka to dla mnie nie wytłumaczona, jak zwierze tak potężne w tym trudnym terenie tak szybko może się poruszać, idąc wolno i cicho, nie zawadzając o nic, bo rzadko bardzo gałąź jakaś trzaśnie pod jego żylastym badylem.

Doszedłszy tak do ściany prawie pionowej, usiadłem, dając za wygrane, tymczasem trzeci jeleń, poza plecami moimi zaczyna się odzywać. Nie długo rozmyślając dążę ku niemu. Jestem już bliżej, jeleń porykuje, ale pauzując coraz dłużej, posuwam się dalej, a gdy omijam zwaloną jodłę odwieczną, trzask, prask i z za niej wyskakują 4 łanie i cielę. Byka nie było. Łanie skoczywszy parę kroków, stają przypatrując mi się ciekawie. Stoję, jak skała, bo jeszcze mam nadzieję, że byka zobaczę, jak powoli majestatycznie kołysząc się podąży za swoim haremem. Daremnie, łanie powoli odeszły, byka ani na oko. W rewirze cisza, ósma dochodzi, czas myśleć o odwrocie, a bardzo jest daleko. Fedor nadszedł, idziemy rzeźkim krokiem, gawędząc o wyprawie dzisiejszej. Wtem przed nami zapora, trzy kłody leżą przez ścieżkę, gładkie, świecące i mokre, przejść boję się, bo mógłbym pośliznąwszy się, zjechać na nich, Bóg wie gdzie.

Już kiedyś, parę lat temu potłukłem się przy takiej przeprawie. Więc przeskoczyć. Skoczyłem tedy i przeskoczyłem, ale nieszczęśliwie. Nie widziałem, że pod belką z tamtej strony jest kamień, na który wskoczywszy, ciężarem i impetem sprawiłem, iż kamień w miękkiem błotku w tem miejscu osadzony, pochylił się wraz z moją nogą. Uczułem ból szalony i teraz z bólu upadłem. Ładna historya, zwichnąłem nogę, myślę sobie, a tu znikąd pomocy. Konia tu sprowadzić nie można, bo nie przejdzie przez kładki, położone przez jary. Rad nie rad, cierpiąc szalenie, szedłem i szedłem przeszło 2 godziny, dowlokłem się do jakiego schroniska, skąd posłałem do głównej kwatery, zawiadamiając gospodarza o mojem nieszczęściu. W 2 godziny potem nadeszła pomoc, wprawdzie nie wóz ratunkowy, ale koń, na którego mnie wsadzono i na nim dotarłem do głównej kwatery. Położyłem się, gospodarz kochany, zrobił mi opatrunek, jak żaden chirurg, mając przybory potrzebne w zapasie.

Dzień się zrobił, w dali jelenie ucichły, poflanowawszy jeszcze trochę tu, trochę tam, wracałem do schroniska, gdy usłyszałem nagle przed sobą dobrze ryczącego jelenia. Powoli podsuwam się ku głosowi, gruby las widać daleko, ale liśćmi tak zasłane, że niepodobna cicho się posuwać. Jeleń odzywa się wciąż, a kiedy wreszcie drapię się pod pagór, przedemną jakiś ruch, zamieszanie, ryk ustał, i sylwetki jelenie truchcikiem się wynoszą, że i wiele nawet zobaczyć nie mogłem.

Nie widziałem i nie słyszałem blisko pożądanego byka a jednak użyłem, bo tu zawsze się używa.

Popołudniu byłem w drodze do zrębu po wygodnej ścieżce, w tem gdzieś, niedaleko nawet ryknął. Stanąłem i oryentuję się, gdzie to, czy wiatr dobry i powoli zaczynam się podsuwać. Ryczał, ale nie tak, jak dobrze rozrykany jeleń, lecz z długiemi pauzami, jakby niechętnie, potem ucichł i skończyło się.

Już dobrze pod wieczór dochodząc do zrębu, spotkałem łanię z cielęciem na polanie, która spłoszona posunęła ku zrębowi.

Stanąłem chwilę, a tu ryczy jeleń w kierunku, gdzie łania poszła koło zrębu. Zatoczywszy koło z dobrym wiatrem, znalazłem się na zrębie i wyczekiwałem, ale daremnie. Ryk ustał i cicho. Ściemniło się, wróciłem bez spotkania.

Nazajutrz rano zdążałem konno do dalekiego rewiru innego, na dziś mi przeznaczonego. Noc jeszcze i cisza, tylko potok, nad którym jadę, wciąż mruczy, syczy i szumi. Tu i ówdzie cos zaszeleści w borze, może duch jaki, a może dzik, któremu biesiadę przerwałem, może wilk, który pod osłoną nocy bezkarnie rabując podąża, szukając zdobyczy. Dojechawszy do granic mojego rewiru, zesiadłszy z konia, odsyłam hucuła z rumakiem, a sam z Fedorem wspinamy się na grzbiet ku ścieżce, która w całym rewirze środkiem wije się po pagórach, raz w górę, raz w dół.

Nazajutrz rano, chciałem konno próbować szczęścia, ale ból na to nie pozwalał, dopiero po południu ruszyłem

konno do kniei, do tego rewiru, gdzie byłem pierwszego dnia. Wyjechałem na zrąb, zatrzymując się na najwyższym punkcie, tu zesadzono mnie z konia, usadowiłem się pod jodełką, mając przed sobą przepyszny widok. Za plecami gruby las, przed sobą zrąb. Konia odesłałem na dół, a gdy już znikł mi z przed oczu i może zaledwie 5 minut oddychałem tem cudownem powietrzem, w grubym lesie odezwał się byk, ale dość cicho, od niechcenia, jakby mruknął. Drgnąłem i zrobiło mi się błogo w duszy. W chwilę potem poniżej na zrąb wyszły 4 łanie, za niemi byk, który choć odległość była daleka, zrobił mi odrazu wrażenie dobrego jelenia. Fedor, który siedział za mną, dostał formalnie gorączki i bałem się, że spłoszy mi całe towarzystwo swoim ferworem. Mając lunetę, zważywszy okoliczność dziwną z moją nogą, strzeliłem na tę odległość. Jeleń zwalił się, jak piorunem rażony. Kapitalny szesnastak nieparzysty o grubych bardzo pniach, to nagroda przepyszna za wszelkie cierpienia. Przyjechawszy do domu, wezwałem lekarza, który skonstatował nie zwichnięcie i nie wykręcenie, ale złamanie nogi, stąd ból szalony, z którego sprawy sobie zdać nie umiałem.

Jedno przysłowie sprawdziło się w tym wypadku: Szczęście w nieszczęściu. *A. S.*



Wyprawa myśliwska pod równik

skreślił

LEON HORODYSKI.

(Ciąg dalszy).

Drugim dowodem niezależności tego narodu, jest fakt, że na całym wybrzeżu niema latarni morskiej, jakkolwiek są miejsca bardzo niebezpieczne z podwodnemi skałami, Somalisi bowiem na wybudowanie latarń zezwolić nie chcą. Anglicy nic sobie nie robią z tych zewnętrznych objawów i mają wewnętrzne przekonanie, że Somalland do nich należy. Widziałem nawet w Mombasie „Komendanta wojsk Somalilandu“, którego można sobie wyobrazić w ten sposób jak n. p. „Biskupa in partibus infidelium“ Od kiedy zbudowano kolej z Mombasy do jeziora Wiktoryi, cały ruch zwraca się do tej arteryi komunikacyjnej a drogi karawanowe dla handlowych produktów afrykańskich, kierują się ku stacyom kolejowym, aby drogą żelazną skupić się w punkcie ostatecznym, w Mombasie, do dalszej ekspedycyi drogą wodną.

Cały kraj protektoratu wznosi się od morza ku zachodowi t. j. w głąb kraju, aż do wysokości 2500 metrów nad poziom morza, a potem zniża się do Wiktoria Nyanza, którego wody znajdują się na wysokości 1100 metrów. Na oko nie widać wznoszenia się terenu, przeciwnie mamy zawsze przed sobą rozległe, aż do nieboskłonu równiny, na których rozrzucone są tu i ówdzie stożki skaliste, pojedynczo lub grupami. Owe bezbrzeżne równiny, porosłe są albo trawami wyłącznie, albo dzikiemi drzewami kolczastemi różnych rozmiarów, wyglądającemi w całości jak źle utrzymany, zapuszczony sad. Wzgórza rozrzucone po równinach, liczą nieraz, po kilkaset metrów wysokości i są produktami erupcyi wulkanicznych.

Stoki ich pokryte bryłami lawy, różnej wielkości i ruchomymi, mniejszymi kamieniami, a wszystko schowane w trawach, wydobywających się ze szczelin.

Można sobie wyobrazić, jak uciążliwem jest wdrapywanie się na takie wzgórza. Równiny, poprzerzynane są nierzadko łożyskami rzek, suchemi w porach pogody a przepełnionemi wodą podczas pory deszczowej, są one nieraz bardzo głębokie, o dnie piasczystem lub kamienistem, o stromych brzegach, porosłych krzakami nie do przebycia. Przejście przez nie możliwe jest tylko ścieżkami zwierząt, wydeptanemi w ciągu całych lat. Utorowanie nowej drogi wymaga tyle natężenia i tak długiej pracy, że korzystniej jest kilka kilometrów drogi nałożyć, niż nową ścieżkę dla przechodu wyrąbać.

Połaci kraju, o charakterze dopiero co opisanym, są dla myśliwego najkorzystniejsze, a to z powodu, że zamieszkane są przez wielką ilość różnorodnego zwierza, a powtóre, że nawet w porach posuchy, można znaleść w niektórych miejscach, wodę sączącą się na dnie łożysk rzecznych, które znane są krajowcom i tworzą etapy dla rozbijania obozowisk.

Bywają przestrzenie o innym charakterze. Tak zwany „Seringetti plain“ step ciągnący się w kierunku potężnego Kilima-Ndżaro bezwodny, zupełnie równy, może być przystępny dla myśliwego tylko podczas pory deszczowej, bo wtedy tworzą się zbiorniki wody, zwane u nas kałużami, które umożliwiają ludziom egzystencyę. Woda zbiorników początkowo dobra, staje się w miarę nastawania posuchy coraz to mętniejszą, gęściejszą, aż wreszcie znika, pozostawiając po sobie czerwony jak cegła namuł i nieżywe wyschłe zwierzątka W suchej porze, tylko krańce stepu mogą być odwiedzane.

Atrakcyą Seringetti plain, nie pozwalającą o nim zapomnieć myśliwemu, są piękne antylopy Orixy, których brak w innych okolicach. Zwierzęta te obywają się zupełnie bez wody. Czy wystarczają im rosy, osadzające się na trawach? Czy może przyjmują przez skórę odpowiednią dozę wilgoci? Nie zapuszczam się w ten ciekawy szczegół i odsyłam czytelnika do specyalnych dzieł zoologicznych.

Dalszymi mieszkańcami tych suchych stepów są: żółw, dochodzący do rozmiarów podolskiej dyni, jaszczur, powoli pełzający, którego okaz widziałem 110 cm. długości, jadowity wąż, miedzianego koloru w desenie, należący do gatunku żmii, zwany po niemiecku „Puffotter“, a wraz z nim tegoż śmiertelny wróg, orzeł „Sekretarz“. Sądząc po ilości sekretarzy, musi być dużo wężów.

Zupełnie inny charakter mają przestrzenie w okolicach wysoko położonych, t. j. ponad 200 m. nad poziom morza. W tych górskich okolicach polowanie jest bardzo utrudnione, drzewa tworzą zwarte, nieprzebyte lasy, a charakterystycznem zwierzęciem, pociągającem tam myśliwego, jest słoń. Zaznaczyć jednak należy, że góry i gęste, wysokie lasy nie są jedynym przybytkiem słoni afrykańskich. Tylko w tej części Czarnego lądu w B. E. A. cofnęły się te kolosy wysoko przed napaścią ludzką, czując się bezpieczniejszymi tam, niż na równinach. Ponieważ nie spotkałem się ze słoniami i z tego powodu nie będę niżej szczegółowo ich opisywał, chcę na tem miejscu wyczerpać temat.

Słonie afrykańskie są większe, niezgrabniejsze co do budowy i dziksze od słoni indyjskich. W. B. E. A. jest ich wogóle mało a polowanie kosztowne. Myśliwi pragnący badać słonia i użyć wrażeń w tym kierunku, powinni udać się prosto bez zatrzymania w B. E. A. na drugą stronę Wielkiego Jeziora, w kierunku Congo, albo też na terytoryum protektoratu niemieckiego od strony Wiktoria Nyanza — do Shirati, Mwansa, albo w góry od strony Bukoba. Także prowincya angielska, Uganda, obfituje w słonie, lecz klimat jest tam bardzo niezdrowy.

Pory roku są w głębi kraju podobnie podzielone, jak to opisałem powyżej. W grudniu padały co dnia, za dwoma lub trzema nawrotami, zlewy, trwające od pół do dwóch godzin, w styczniu i w lutym padał deszcz co kilka dni, przychodził raptownie i trwał nie długo. Co nocy obfite rosy osiadały na trawach a wysechały około 10 godziny przed południem.

Z odzieży cierpiały na tej wilgoci najbardziej części skórzane t. j. obuwie i sztylpy. Biedne obuwie nigdy nie mogło doczekać się normalnego stanu i wyglądu, rano rosy rozluźniały skórę i szwy; koło południa pod ostrymi promieniami słońca wszystko wysechało, również jednak sztywniały grube trawy i dawały ostre cięgi obuwiom, po południu nowa serya wilgoci, spowodowana deszczem, w nocy na niewyschłą skórę rzucała się pleśń i tak ciągle.

Temperatura w głębi kraju, w miarę wznoszenia się terenu, robi się coraz łagodniejszą. Promienie słoneczne jednak nie tracą na intenzywności i należy strzedz się przed udarem słonecznym.

W połowie drogi między Mombasą a Wiktoria Nyanza leży stolica przyszła B. E. A., miasto Najrobi. Informacye o powstaniu tego miasta zawdzięczam biskupowi Zanzibaru, Alhäerowi, którego spotkałem powracającego z wizytacyi misyi. Najrobi do niedawna było takim samym dzikim stepem, jak sąsiednie przestrzenie. Dom katolicki misyjny był pierwszym europejskim budynkiem, potem przyszła kolej żelazna, a w przeciągu ostatnich trzech lat powstało miasto. Obecnie Najrobi, jest po Mombasie drugą siedzibą władzy, posiada hotele, sklepy i niebawem przerośnie tę ostatnią, do czego dopomoże klimat, znacznie tam zdrowszy, niż w Mombasie. Powiadają, że klimat tam jest przez cały rok jednakowy i że można porównać go z klimatem lata europejskiego. Twierdzenia te należy przyjmować cum grano salis; nie wiem jak się mają rzeczy z tą charakterystyczną wilgocią regionów tropikalnych, o której w Europie nie mamy pojęcia; zgodziłbym się tylko na porównanie stopni ciepła termometrowego z ciepłem europejskiem w lecie. Minimum ciepła w ciągu całego roku w Najrobi jest +9 R., maximum +22 R. Taka stosunkowo niska, jak na równik temperatura, tłumaczy się wysokiem położeniem, bo 1650 metrów nad poziom morza. Bądź co bądź klimat w okolicach Najrobi jest zdrowszy od klimatu innych miejscowości, tak dla ludzi, jak dla zwierząt domowych. Muchy tse-tse niema, febry stosunkowo najmniej, bo moskitów anopheles mało, a skutkiem tego okolice zamieszkane są przez europejskich farmerów, uprawa roli i chów bydła rozwija się.

Anglicy robią wszelkie ułatwienia farmerom europejskim, którzy chcą się osiedlać w B. E. A., chów koni protegują do tego stopnia, że urządzają już wyścigi. Biskup Algäuer z wielkiem zadowoleniem opowiadał, że jego koń, wychowany w misyi Najrobi, wygrał w tym roku pierwszą nagrodę. Mimo to na razie niema widoków, aby stosunki gospodarskie podniosły się w B. E. A. na sposób europejski. Konie i bydło chować można tylko na kilku ściśle znanych miejscowościach, a w przeważnej części kraju mucha tse-tse zabija te zwierzęta, konie i osły dostają gruczołów i giną wskutek uduszenia, bydło rogate ginie z trochę odmniennymi objawami. Szczególnem jest, że mucha nie szkodzi zwierzętom dzikim, nawet zebry jej nie ulegają. Dla ludzi mucha tse-tse jest także niebezpieczną, ukłucie ma wywoływać chorobę zwaną śpiączką i człowiek umiera z wycieńczenia — sprawa ta nie jest jednakże całkiem wyjaśniona i słyszałem zdania, że śpiączka jest inną chorobą i nie należy jej przypisywać ukłuciu tse-tse. Zbadanie tej kwestyi jest rzeczą bardzo ważną dla rozwoju całej wschodniej Afryki. Profesor Koch jeździł niedawno do prowincyi protektoratu niemieckiego i angielskiego, aby badać bakteryologicznie śpiączkę i muchę tse-tse, może rzuci on lepsze światło na chorobę i wynajdzie sposób szczepienia, co byłoby prawdziwem dobrodziejstwem dla ludzkości, powodem pomyślnego rozwoju i bogactwa dla owych krain. Drugą chorobą powszechną a prześladującą tylko ludzi, jest febra. Nie spotkałem Europejczyka tam zamieszkałego, któryby jej nie miał, a czarni chorują tak samo, jeżeli nie więcej jeszcze. W mojem najbliższem otoczeniu, w ludziach należących do karawany, miałem kilka wypadków ciężkich.

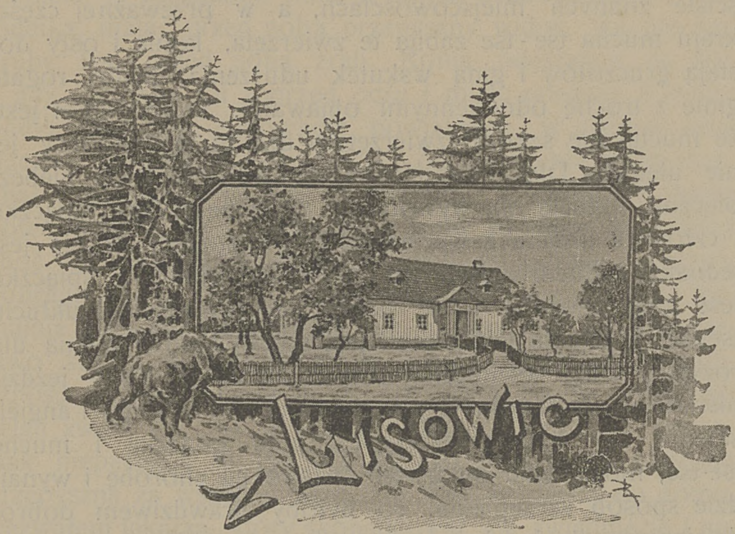
Mój tłumacz i zarazem komendant ekspedycyi, europejczyk, niemiec zapadał co dwa tygodnie na febrę. Rano zdrów, dostawał w południe bolu głowy, potem dreszczów, a gorączka podnosiła się do 41° C., które sam konstatowałem, na termometrze maksymalnym z Europy przywiezionym. Choroba trwała dwa dni, potem dzień rekonwalescencyi i wszystko wracało do dawnego trybu. Wielu europejczyków, po kilkuletnim pobycie, musi się poddawać operacyi wycięcia śledziony, której stan anormalny jest spowodowany częstemi febrami. O wiele straszniej od białych wyglądają czarni, gdy ich febra zmoże. Żółknieją, twarz zmienia się do niepoznania, puchnie i są bardzo osłabieni.

Rozpoczęty traktat ekonomiczny przerwaliśmy medycyną, powróćmy więc do pierwszego tematu — mianowicie do powodów, dla których rolnictwo w znaczeniu europejskiem nie rozwinie się tak prędko w B. E. A. Otóż dalszym powodem, jest brak zupełny miejscowych konsumentów, a z tem i miejscowych rynków zbytu. Produkować na większą skalę można tylko to, co się da eksportować i co się eksportować opłaci. Zboża, aczkolwiek doskonale się udają, nie opłacają się, kukurudzę i fasolę widziałem uprawianą przez krajowców dla własnej potrzeby, plony zapowiadały się bardzo obfite, kartofle udają się też, spotykałem gatunki zupełnie do naszych niepodobne, jakieś wysokopienne o wązkich liściach.

(C. d. n.)



Korespondencye.



Na dziesięciodniowem polowaniu jesiennem, od dnia 16 do 26. października b. r., doznaliśmy dotkliwego zawodu, nie zastając w spodziewanej ilości słonek. Nadzieje dobrego ich ciągu były zupełnie upodstawnione, wobec doskonałych wyników polowania na nie w niektórych okolicach kraju, jak n. p. w lasach podlwowskich, gdzie z łatwością kilkadziesiąt ptaków na jednodniowem polowaniu ruszyć można było. Na całem Podkarpaciu, jakoteż na Podolu ciągi słonek najzupełniej zawiodły: przerażająca, długotrwała, upalna posucha musiała wpłynąć na obranie nowych dróg a może też i na zmianę okresów ciągu długodzióbych ptaków. W Lisowicach n. p. zastaliśmy suchsze, liściaste rewiry zupełnie puste, a te nieliczne słonki, które zostały zabite, przebywały niemal wyłącznie w gęstych zaroślach szpilkowych, chłodu i wilgoci w nich szukając, a nieobecnością świeciły w dawniej licznie odwiedzanych, liściastych pieleszach.

Dziki, ustawodawczym ostracyzmem nieodwołalnie na zagładę skazane, jeszcze w pokaźnej liczbie oczekują wyroku śmierci; przyroda sama, jak gdyby pomna, że skazańcom niczego się nie odmawia, największy dla nich w tym roku przygotowała przysmak, sprowadzając wyjątkowo obfity urodzaj żołędzi. W tem cała nadzieja zimowego polowania: dziki, napróżno szukając w górach bukwy, która nie obrodziła, powinny zejść do przestrzeni niżej położonych, dębiną porosłych i bez trudu wypasać się na żołędziach, przy którem to samolubnem zajęciu, mamy nadzieję je zaskoczyć.

Jelenie i sarny, jak w całym kraju, tak i tu zostały zdziesiątkowane srogością mrozów i bezdennością śniegów pamiętnej tegorocznej zimy; przecież silniejsze osobniki, tak pierwszych jak drugich, klęskę wytrzymały, wyglądają zdrowo i wcześnie wylenione, pozwalaję się spodziewać szybkiego w swym rozroście powetowania strat w hodowli zwierza uczynionych.

Ogólny wynik łowów przedstawia się jak następuje:

Jeleni 1, dzików 14, rogaczy 12, lisów 35, zajęcy 46, cietrzewi 1, sów uralskich 8, jastrzębi 7. Razem sztuk 175 na 412 strzałów.

Z Antonin.

Zjazd gości, na doroczny a oddawna już mający ustaloną swą sławę, sezon myśliwski u Hrabiostwa Józefostwa Potockich w Antoninach na Wołyniu, był w roku bieżącym specyalnie liczny i świetny. Niestety jednak, trwająca stale od trzech prawie miesięcy susza, która nie małe budzi obawy rolników o przyszłe oziminy, uniemożliwiła niemal zupełnie, owe przepyszne par force polowania. Wyjeżdżano więc zaledwie kilka razy i to, na grubszego zwierza, jak jelenie i daniele, bo o polowaniu na zające, nie mogło być mowy. Jeden pościg za szóstakiem jeleniem, pochodzącym ze Spały — wypadł świetnie, gdyż pomimo tak wielkiej suszy, psy goniły wyśmienicie, a przestrzeń zanim go ujęły, wyniosła z górą 25 wiorst. Tak długi pościg spowodował, że z kilkunastu myśliwych, do „hallali“, dojechało zaledwie czterech myśliwych a mianowicie: Hrabianka Ewa Rżyszczewska, Książę Adam Lubomirski, Hrabia Zdzisław Tarnowski i Dr. Juliusz Szczucki. Dalsze łowy par force, odłożono do więcej sprzyjającej aury.

Natomiast, polowania w bażantarniach, pomimo nie sprzyjających tej wiosny dla lęgu bażantów warunków, wypadły bardzo pomyślnie, bażanty bowiem pięknie i wysoko latały, polowania dobrze były prowadzone, a na ich urozmaicenie nie mało wpłynęły słonki, których ciąg w bieżącej jesieni szczególnie był obfity. Oto rezultat tych polowań:

15. października w Wolicy: bażantów 183, słonek 25, królików 2, lis 1, różnych 2. Ogółem 213;

24. października w Wolicy: bażantów 824, słonek 12, królików 17, różnych 5. Ogółem 858;

25. października w Heleninie: bażantów 1124, słonek 2, kaczek 7, kozły 2, zajęcy 15, królików 7, lisy 2, różnych 3. Ogółem 1164.

Razem: bażantów 2131, słonek 39, kaczek 7, kozły 2, zajęcy 17, królików 16, lisy 3, różnych 10. Ogółem 2235.

Królem polowania w bażantarniach, był jak i w roku zeszłym, Hr. Zdzisław Tarnowski, który strzelał z 3-ch brauningów, a miał na rozkładzie około 500 sztuk. Z Gości zauważyliśmy: Książęta: Romana Sanguszkę, L. Czetwertyńskich, Adama i Huberta Lubomirskich, Księstwo Szczerbatow, Hrabinę Romanową Potocką z synem Alfredem, Margrabiostwo Wielopolskich, Hrabianki Ewę i Eufemię Rzyszczewskie, Hrabiostwa: B. Tyszkiewiczów, Giżyckich, Hrabiów: Z. Tarnowskiego, K. Orłowskiego, Bnińskiego, Przeździeckiego, Clary, Sigray, Kapitana Stanleya z małżonką, PP. Jaroszyńskich i wiele osób z sąsiedztwa.

W trzecim dniu polowania, charakterystyczna scena przytrafiła się z lisem, świadcząca o instynktach krwiożerczych tego szkodnika. Na Księcia A. L. wypadł z przed naganki stary kita i pomimo, że pierwszym strzałem został wcale nieźle trafiony, szedł dalej, a spotkawszy na swej drodze, strzelonego tylko co przed nim, a trzepiącego się jeszcze bażanta, chwycił go w zęby i zaczął tarmosić; drugi strzał jednak, położył go wraz ze zdobyczą na miejscu. Pojawianie się lisów w ogrodzonych bażantarniach, aczkolwiek rzadkie — trafia się jednak. Długo nie dawaliśmy wiary bażantarnikom, ażeby lis przez siatkowe, druciane ogrodzenie, mające z dolnemi deskami prawie dwa metry wysokości i w dodatku zabezpieczone u góry pięciu kolczastymi drutami — mógł się przedostać do bażantarni. Tej jednak zimy, naocznie sprawdziłem, że tak bywa i w miejscu, przez które przeszedł czy przeskoczył lis, znalazłem trochę jego sierci na kolcach; jedna tylko okoliczność nie zbadana, mianowicie, czy lis drapie się po siatce jak kot, czy też susem dostaje się pomiędzy druty kolczaste, skąd zeskakuje na drugą stronę.

Zebrani w Antoninach goście myśliwi, mieli też sposobność oglądania dość rzadkiego już w tych stronach

zwierza. Okazem tym był olbrzymi wilk, zabity w rewirze wierżbowieckim przez leśniczego p. Mączewskiego, w czasie polowania na kozła. Prawdopodobnie ten sam wilk, pojawiał się już w okolicy Wierżbowiec z początkiem minionej wiosny i sporo szkody wyrządził miejscowym włościanom w ich szkapinach, przez lato go jednak nie było, a w jesieni znów przywędrowawszy, życiem tę wizytę przypłacił.

Na pograniczu Staro-Konstantynowskiego powiatu i Podola, w obszernych lasach niegdyś Książąt Czartoryskich, a obecnie rządowych, było w r. b. kilka gniazd wilków. Polowaliśmy już raz na nie, ale że polowanie nie było należycie zorganizowane, wilki wychodziły bokami i skończyło się tylko na ubiciu ogromnej wilczycy, położonej celnym strzałem Pana W. Stankiewicza.

Na zakończenie tej mojej korespondencyi, nie mogę nie dodać, że miniona, a nadzwyczaj śnieżna zima, wyrządziła w tutejszej całej okolicy wielkie szkody w zwierzostanie, jużto w dzikach, jużto sarnach, a nawet w zającach. Kuropatwy np. lubo w dobrach Antonińskich wyłapane były zaraz w początku srożącej się zimy i w ilości 200 sztuk puszczone zostały na wiosnę — bardzo jednak mało dały stadek. Przepiórek zato mieliśmy obfitość wielką, tak samo było sporo błotnej zwierzyny a zwłaszcza też kaczek, od których i obecnie aż czernieją stawy, wiele im jednak zrobić nie można, gdyż po pierwszych zaraz strzałach zrywają się wysoko i lecą na inne stawy, których w tutejszej okolicy jest wiele.

W Antoninach, 18. października 1907.

A. Śliwiński.

Zielona, 31. października 1907.

Nasza okolica nie leży na linii ciągu słonek. W najkorzystniejszych latach (jak obecne) zaledwie na kilka sztuk możemy liczyć. Nad Prutem i na „Zapruciu“ jak się dowiaduję, nieprzebrana ilość słonek w b. r. była! Jeden z Towarzyszy w kilku godzinach, przed psem podniósł 10 sztuk, a kilkadziesiąt widział.

Zamiast słonek, mamy lisy, i na nie polowaliśmy dość pomyślnym skutkiem, jak poniżej podaję.

12. października w Łuce, jeden lis i bażant. Słonek widzianych cztery. Do zajęcy i kozłów nie strzelano. Z bażantów dziko chowanych od trzech lat, widzieliśmy kilkanaście kogutów.

W Żukocinie 17. października na rozkładzie: trzy lisy i kozioł. Zajęcy bardzo wiele, stan sarn o 70% zmniejszył się po ubiegłej zimie. Słonek nie było.

Ścianki nad Dniestrem, Scierwiska, obfitują w lisy i dnia 21. października dały ładny rozkład, bo 7 lisów, 8 zajęcy, kuropatwę i słonkę. W pierwszym miocie, może nie uwierzą Towarzysze, ale było widzianych około 20 lisów, jeden z myśliwych sam przeszło 14 widział, zabił tylko trzy. Wobec tak wielkiej ilości lisów, postanowiliśmy jeszcze raz zapolować.

I polowaliśmy dnia 20. października, a rezultat trzy lisy i trzy zające, jeden kozioł. Słonka jedna widziana. Zajęcy wiele, na śniegu obiecujemy sobie obfity rezultat.

W Oleszy, (majętność rozparcelowana, dzierżawione polowanie przez p. W. Walewskiego) dnia 26. października na rozkładzie: 5 lisów i 10 zajęcy. Słonka jedna widziana. Stan zwierzyny ładny, widać opiekę.

W. S.

Lusina, (pow. Podgórze) dnia 2. listopada 1907.

Sądzę, że Szanowni Czytelnicy „Łowca“ podzielą moje zdanie, że przy przesyłaniu korespondencyi do „Łowca“ nie wystarczającem jest, jak to zwykle praktykowanem bywa, jeżeli Szanowny korespondent poda li tylko nazwisko wsi i umieści pod korespondencyą swój cenny podpis, to bowiem nie da jeszcze czytelnikowi często pojęcia, której nawet części kraju dany opis lub fakt się tyczy, że więc pożądanem by było, żeby przy korespondencyach przy podaniu wsi, wymieniać także powiat, co uczyni czytanie korespondencyi nie tylko przyjemniejszem, lecz i pożyteczniejszem, bo da ono niejednokrotnie lepszy obraz stosunków łowiectwa w kraju.

Władysław Słapa,
delegat podgórski.

Uwaga Szan. Korespondenta jest zupełnie słuszną. *Redakcya.*

Lwów, w listopadzie.

Z powodu wprowadzenia chowu bażantów, wypowiedziano w tym roku w Hoszanach, nieubłaganą wojnę lisom. W lutym struto kilkanaście, na wiosnę przy pomocy jamników wykopano i zniszczono kilka rozbójniczych rodzin, na zasiadkach padło znów parę lisów — słowem dobierano się do skóry mykitów na wszelkie sposoby. Nic dziwnego, że poczciwy gospodarz, który rokrocznie sprasza nas na słynne łowy lisie, w tym roku zwątpił o wyniku polowania i uprzedziwszy nas z góry, że lisów mało, zwołał nas tylko pięciu na słonki.

21. października stawiliśmy się do apelu — szlachetnych długodziobów zastaliśmy jednak nie wiele, a i te słonki, co były, starannie omijały śruty — dość, że tylko dwie ubito, natomiast począwszy od znanego „miotu lisiego“ poczęły się sypać na linię myśliwych lisy, a wychodziły tak dobrze, że choć szczupłą była garstka myśliwych, niemal wszystkie wyszły na strzał. Pokaźny też był rozkład: 19 lisów, z czego się okazuje, że w Hoszanach lisy wytępić trudno, bo tam ich matecznik.

Nawiasem dodaję, że bażanty w remizie, zwanej „Zadworszczyzną“ żyją i mnożą się doskonale.

W kilka dni po opisanem polowaniu zaszedł w Hoszanach niezwykły fakt, o którym wspominam, aby dać dowód, jak znakomitą bronią jest browning. Bawiący tam chwilowo mój szwagier L. A. wyjechał w piękny dzień jesienny z dziećmi do lasu — strzelby nie miał przy sobie, tylko do kieszeni surduta włożył browning. Gdy wjechali na łąkę, wrzynającą się klinem w las, usłyszał nagle charakterystyczny głos żórawi, a spojrzawszy ku niebu, ujrzał przeciągający ponad lasem klucz w odległości około 200 kroków. Nie namyślając się długo, dobył browninga i posłał w kierunku ciągnących żórawi jedną, a po chwili — gdy klucz trochę się zmięszał — drugą kulę. Po drugim strzale jeden żóraw odłączył się, przez mgnienie oka zawisł w powietrzu, poczem zachwiał się i runął martwy na łąkę. Kula nadwerężyła skrzydło i przeszyła na wylot serce.

Ubity żóraw jest nadzwyczaj pięknym okazem, a wypchanie jest w toku.

Leopold Łysakowski.

Radruż — Smolin.

Dnia 17. września b. r. polowaliśmy w Radrużu na błotach — zabiliśmy w cztery strzelby 53 sztuki ptactwa błotnego. Na słonki polowałem w Smolinie dwa tygodnie z nagonką — zabiliśmy 88 słonek w dwie strzelby, z pomocą trzeciej strzelby przez 5 dni. Najwięcej słonek było między 8 a 15. października. *Stanisław Bieczyński.*

KRONIKA.

Nosorożec dyluwialny. Na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa przyrodników im. Kopernika komunikował prof. dr. Zuber szczegóły, tyczące się znalezienia nosorożca dyluwialnego w Staruni. Mamuta znaleziono w głębokości 14 metrów, a o 1 metr niżej w tej samej warstwie gliniastej, przesyconej ropą, znaleziono nosorożca. Okazu tego nie wydobyto w całości z powodu znacznych kosztów, jakieby rozkopywanie szybu musiało pociągnąć za sobą. Wydobyto tylko doskonale zakonserwowaną głowę, przednią nogę i prawie całą skórę. Skóra tak się doskonale w ropie zakonserwowała, iż n. p. uszy są zupełnie miękkie, róg na nosie zachowany również doskonale, posiada nawet niezniszczoną błyszczącą warstwę rogową, jakby zupełnie świeży. Noga wraz z kopytkami także dobrze zachowana.

Miejsce, w którem znaleziono nosorożca będzie w szybie dokładnie oznaczonem, tak, aby później, jak się na to środki znajdą, można było rozpocząć dalsze poszukiwania.

Sprostowanie.

W poprzedzającym numerze Łowca, w artykule „Wyprawa myśliwska pod równik“ z winy zecera popełniono 2 błędy drukarskie, które niniejszem prostujemy. Mianowicie na str. 292 na samym początku artykułu zamiast w roku **1906**-tym, ma być w roku **1905** tym, na str. zaś 264 w wierszu 25-tym zamiast, że są ich cztery ma być „że **jest** ich cztery“.

Słownictwo łowieckie.

M.

Maciczki, gwinty w grubszym końcu strzelby, w które wkręca się tylna śruba.
Maciora, samica dzika.
Majaczyć, krążyć w koło, n. p. zając majaczy.
Majak, czółno, obstawione trzciną lub gałęziami do podjeżdżania zwierzyny wodnej.
Majz, zowie się każdy ptak drapieżny, którego zaczynają układać do pola.
Małkus, tyle co myłkus o rogaczu.
Mamlać, kiedy wyżeł ptaka zamiast aportować, podrzuca i nim się zabawia.
Mamroczeć, mamrotać, głos wydawać, mówiąc o niedźwiedziu.
Mamrzeć, markotać, mamruczeć, tyle co mamroczeć.
Maniak, cietrzew wypchany, stawiany przed budką na wabia.
Manierka, naczynie szklane, obszyte skórą lub oplecione, do wódki lub wina.
Marcować, zaspokajać popęd płciowy, mówiąc o rysiu.
Marczak, zając urodzony w marcu.
Maść, tyle co barwa u zwierząt.
Maska, okrycie z gałęzi, służące do podchodzenia ptaków.
Matnia, ta część u niewodu ptasiego, do której ptak dostawszy się, złapany bywa.
Mech, tyle co scypuł, skóra z siercią, którą rogi świeżo rosnące są pokryte.
Mekać, głos wydawać, mówiąc o łani, tylko podczas rykowiska.
Merlin, odmiana sokoła.
Metr, zając stary, tak obrotny, że uszczuć go trudno.
Miarka, przyrząd do mierzenia ilości prochu i śrótu.
Miasteczko bobrowe, składa się z kilku domków bobrowych.
Mieszek albo **przepiór,** wabik na przepiórki.
Miękko strzelony, jest zwierz trafiony w brzuch.
Mięszaniec, pies nieczystej rasy.
Mikot, wabik na sarny.
Mikotać, głos wydawać, mówiąc o sarnie, tyle co mykać.
Milczek, pies cicho goniący.
Miot, tyle co pędzenie, część lasu obstawiona naganiaczami.
Miotać się, wikłać się w sieciach.
Miś lub **Misio,** nazwa niedźwiedzia.
Misterstwo psa, sposobność jego do myśliwstwa.
Mistrz, pies myśliwski doskonały.
Mistrzować, o psie, gdy bardzo dobrze w polu chodzi.
Mlaskać, głos wydawać, mówiąc o żbiku.
Mleczne rogi, miękkie rogi we mchu niewytarte.
Młódka, młoda kuropatwa, kaczka itp.
Młodzik, każdy zwierz młody.
Młyńcem iść, o zającu, gdy uciekając zatacza koła.
Mocny, tyle co wielki.
Modli się, zając, gdy otoczony chartami.
Morda, mordka, pysk psa lub sarny.
Motać, o zającu, gdy wodzi długo psy za sobą.
Motylica, choroba u zwierzyny, powodują ją gąsienice, które nozdrzami do mózgu się dostają.
Mrownik, nazwa niedźwiedzia.
Mruczeć, głos wydawać, mówiąc o niedźwiedziu.
Mrzeżna, sieć na cietrzewie.
Mundsztuk, zakończenie trąbki, zwykle z rogu, ta część, którą się do ust bierze.
Murzynek, młody cietrzew.
Muskać, głos wydawać, mówiąc o zającu, gdy się wabi.
Muszka, guziczek świecący, umieszczony na końcu luf, służy do mierzenia.
Musztuk, tyle co mundsztuk.
Mydło, 1. tyle co pudło, 2. mydło wozić, o charcie, kiedy za innymi w tyle goni.
Mydłować, pudłować, chybiać.
Mykać, głos wydawać, mówiąc o sarnie.
Mykita, tak nazywają lisa.
Mylić tropy, gdy zwierzyna zwroty robi w różnych kierunkach dla oszukania pościgu.
Mylnik. jest rogacz, sarnik lub jeleń, który ma rogi nienormalne, może być naturalny i taki, który został potrzelony w czasie zmiany parostków lub wieńca i taki jest sztuczny. Zowią go także małkusem lub myłkusem.
Myłkus, patrz mylnik.
Myśliczek, suknia używana do polowania.
Myśliwy lub **myśliwiec,** który z zamiłowaniem oddaje się się hodowli zwierzyny i umiejętnie na nią poluje.
Myśliwstwo, sport szlachetny, zarazem zabawa zdrowa i najprzyjemniejsza, gdy się ma do niego żyłkę, zamiłowanie.
Myszkować, szukać za myszami po polach, mówiąc o lisie.
Myszołów, ptak drapieżny *(Buteo).* (C. d. n.)

Drobne ogłoszenia i inseraty.

Zarząd dóbr Kornalowice p. Kranzberg ma na sprzedaż 250 cent. metr. żołędzi po 20 koron, za 1 centn. metr. loco stacya Kalinów. Wysyłka uskutecznioną może być zaraz po otrzymaniu worków.

Jubiler

JAN JARZYNA

poleca **wyroby złote i srebrne.**

WYBÓR ZNACZNY. — CENY UMIARKOWANE.

Lwów, hotel Europejski, plac Maryacki l. 4.

Eugeniusz Maryan Unger

rytownik (graveur)

oraz **PRACOWNIA PIECZĘCI METALOWYCH I KAUCZUKOWYCH**

Lwów — ulica Akademicka liczba 8.

Rytuje gustownie i stylowo, według najświeższych wzorów, wszelkie monogramy, herby i napisy na różnych metalach i drogich kamieniach, oraz wypukło rzeźbione i cyzelowane napapierośnice, laski, teki, adresy. Tablice metalowe, lane i metalowe dla urzędów, lekarzy, adwokatów, fabryk, straży polowych. Tablice oryentacyjne dla ulic, domów itp. Cęgi do plombowania i opłatków, także toporki do cechowania drzewa. Drukarnie kauczukowe „Perfekt“. Numeratory i maszynki do numerowania.

Ceny umiarkowane. — Wykonanie na oznaczony czas.



Prawnie zastrzeżone.

Jedynem nieprzemakalnem smarowidłem na skórę jest

HEVEAX

czyni skórę miękką, trwałą

i pod gwarancyą nieprzemakalną.

Cena jednej puszki wraz z pędzlem K. 3.—. 10 puszek tylko K. 25.—. Po otrzymaniu K. 3.50 wysyłamy jedną puszkę franko do każdej stacyi pocztowej w monarchii przez:

Laboratoryum Kubanyi Sisak (Kroacya).

Niezliczone świadectwa fachowców i wysoko postawionych osób. Na wystawach fachowych tylko pierwsze odznaczenia.

Magazyn i Pracownia Futer

Braci Lubelskich

we Lwowie, ul. Wałowa l. 3.

POLECAJĄ NA SEZON ZIMOWY

swój obficie zaopatrzony

MAGAZYN FUTER

tak w skórach futrzanych,

jakoteż

GOTOWYCH FUTRACH

damskich i męskich.

BOA, ZARĘKAWKI, CZAPKI

i wiele innych rzeczy w zakres kuśnierstwa wchodzące.

Przyjmujemy stare futra i przerabiamy na nowe fasony, licząc wszystko po możliwie jak najtańszych cenach.

Cenniki illustrowane na żądanie.

Towarzystwo

Wzajemnych Ubezpieczeń Urzędników Prywatnych

we Lwowie, Hotel George'a

oparte na wzajemności i zasadach asekuracyjno-technicznych, a zarazem o celach dobroczynnych, — przyjmuje ubezpieczenia, a w szczególności ubezpiecza za jedną składką **renty na wypadek nieudolności do pracy, renty na starość, renty wdowie, pensye sieroce, kapitały pośmiertne, posagi** itd., a to w najrozmaitszych kombinacyach.

Ubezpieczać się mogą urzędnicy prywatni wszelkich kategoryi, oraz osoby zarobkujące samoistnie lub w tak zwanych zawodach wolnych — bez różnicy płci.

Szczególne korzyści:

Po trzech latach trwania ubezpieczenia jest polica nieprzepadalna, t. j. Towarzystwo zwraca po tymże czasie na żądanie $^3/_4$ składek netto bez odsetek.

Oprócz ubezpieczonych rent ma każdy członek ubezpieczony, każdy emeryt lub wdowa prawo do zapomóg doraźnych w wypadku choroby, braku posady etc., wszyscy zaś członkowie i ich rodziny mogą korzystać z licznych fundacyi stypendyjnych i posagowych, oraz z bursy Towarzystwa. Członków poleca Towarzystwo bezpłatnie na posady.

Towarzystwo będzie od r. 1909 ustawowym zakładem emerytalnym zastępczym w myśl ustawy z d. 16. grudnia 1906 Dz. u. p. Nr. 1 z r. 1907.

Prospekty szczegółowe wysyła i wszelkich wyjaśnień udziela na żądanie:

Wydział centralny Towarzystwa

we Lwowie, Hotel George'a.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**